

## **Gnieźnieńskie Forum Ekspertów Turystyki Kulturowej**

### **Problem „skansenizacji” dziedzictwa kulturowego w turystyce**

#### **Pytanie 26**

**dr Magdalena Banaszkiewicz, UJ, Kraków**

*Dostrzegając wiele pozytywów płynących z rozwoju różnych form turystyki kulturowej, antropolodzy zwracają ostatnio uwagę na zagrożenie postępującej skansenizacji niektórych regionów (zjawisko to wynika z faktu traktowania kultury oraz jej przedstawicieli jako żywych skamielin). Czy zgadzają się Państwo z tą konstatacją lub/i czy zauważyli już Państwo konkretne przejawy takiego procesu w Polsce? W jaki sposób można (i czy trzeba) zapobiegać owej tendencji?*

#### **Odpowiedzi:**

**dr Łukasz Gawel, UJ, Kraków**

Proces skansenizacji (albo muzeumifikacji) przestrzeni kulturowej – jak widać oba słowa nie występują, jeszcze, w słowniku języka polskiego – powodowany jest nieodmiennie brakiem namysłu nad sensem i celem zachowania określonego zasobu dziedzictwa, czyli brakiem procesu zarządzania względem tegoż. Czy takie procesy w silnej postaci występują w Polsce? Wydaje mi się, że na razie możemy mówić jedynie o pewnych symptomach. Dla mnie najlepszym przykładem tego procesu jest rumuński rytuał zwany calusari (muszę w tym miejscu złożyć ukłon w stronę swojej koleżanki instytutowej, dr Ewy Kocój, wybitnej znawczyni Rumunii, która niedawno wygłosiła na ten temat wykład w krakowskim Muzeum Etnograficznym) – rytuał sprowadzony do wymiaru teatralnego, w którym aktorzy wyuczeni ról, odtwarzają w rzeczywistości puste gesty, pozbawione głębszego sensu. Generalnym problemem, opisywanym coraz powszechniej przez znawców tematu (vide recenzja tomu *Zarządzanie miejscami wpisanymi na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w Polsce i Norwegii* w najbliższym numerze „Turystyki kulturowej”) jest kwestia zachowania autentyczności, unikatowości i integralności zasobów dziedzictwa w obliczu dynamicznie rozwijającego się ruchu turystycznego. W tym kontekście właśnie, musimy posługiwać się kategoriami właściwymi dla zarządzania. Jeśli nie wyznaczamy celów dla poszczególnych miejsc (obszarów, obiektów, przestrzeni kulturowych), zostawiając ich funkcjonowanie swobodnemu dryfowaniu, jeśli nie moderujemy takiej przestrzeni, nie animujemy, to zazwyczaj spełnia się jedna z dwóch możliwości:

1. Obiekt staje się disneyowską wersją opowieści kulturowej (dla mnie dobrym przykładem tego jest miasteczko indiańskie stworzone nieopodal szlaku śląskiej kolejki wąskotorowej wyruszającej z Rud Raciborskich – jak wiadomo czerwonoskórzy masowo byli zatrudniani w śląskich kopalniach i zakładach przemysłowych w XIX w.).
2. Miejsce zostaje zakonserwowane, zmuzeumifikowane, narzucone są mu martwe reguły funkcjonowania, mające niejako zachować unikatowe dziedzictwo miejsca.

Tymczasem jego trwanie w czasie wymaga rozważnego stosowania polityki zrównoważonego rozwoju, przy jednoczesnej świadomości jednej prawdy: immamentną cechą dziedzictwa kulturowego jest jego obumieranie. Oczywiście stosunkowo łatwo jest zachowywać obiekty dziedzictwa materialnego (choć i tak wiadomo, że zabytek bez autentycznej funkcji, wyrastającej ze społecznego zapotrzebowania miejsca, w którym się znajduje, nie przetrwa), ale prawdziwym wyzwaniem jest dziedzictwo niematerialne. W tym drugim obszarze nierozważne działania wywołują więcej szkód, niż pożytku – nie można

przecież zachować religii bez wiernych, czy tradycyjnego zawodu, bez uprawiających go rzemieślników.

Jakie jest więc rozwiązanie tych kwestii? Wg mnie, jak napisałem wyżej, planowe zarządzanie poprzez cele (ang. *Management by Objectives*). Ten system zarządzania znany jest od połowy ubiegłego wieku, a spopularyzował go klasyk zarządzania, Peter Drucker. Stworzony z myślą o organizacjach biznesowych, zakładał konieczność ustalania celów, które mają być osiągnięte przez organizację w określonym czasie. Co ważne, cele te mieli wytyczać menedżerowie wspólnie z pracownikami (nie miały być narzucane, ale wypracowywane). Wydaje się, że ten system można doskonale adaptować dla potrzeb zarządzania dziedzictwem kulturowym, warunkiem tego będzie jednak istnienie struktur zarządczych, gwarantujących sprawne i skuteczne zarządzanie (powinny być one kreowane na poziomie jednostek samorządu terytorialnego). Takie współdziałanie gminy z różnymi grupami interesariuszy, zainteresowanych zagospodarowaniem danego zasobu dziedzictwa, a przede wszystkim mieszkańcami regionu, może przynosić doskonałe efekty (dla mnie przykładem takiego miejsca jest Lipnica Murowana, gdzie najmocniejszym lokalnym aktorem animującym dziedzictwo nie jest akurat samorząd, ale proboszcz tamtejszej parafii, ksiądz Zbigniew Kras).

Realizowanie wspólnych celów, określenie miejsca lokalnego dziedzictwa względem współczesności, z uwzględnieniem faktu, że mieszkańcy regionu mają prawo do normalnej ewolucji codziennego życia i zaspokajania potrzeb cywilizacyjnych, może się okazać najlepszym mechanizmem chroniącym lokalne dziedzictwo przed opisanymi wyżej negatywnymi skutkami

***dr hab. Dariusz Dąbrowski, prof. UKW, Bydgoszcz***

To bardzo ciekawe pytanie, związane z żywo mnie interesującym problemem muzealizacji (trochę żartując co do sedna pytania – można powiedzieć - nie muzeifikacji) przestrzeni miejskich i wiejskich. Jak sądzę, w Polsce nie ma żadnych obaw co do nadmiernego rozprzestrzenienia się zjawiska "skansenizacji", Wprost przeciwnie, kierując się zasadami zaprezentowanymi na przykład przez Petera van Menscha (1987) co do aktywizacji muzeów, rozszerzenia spektrów ich działalności i zmiany podejścia do odbiorców, należy zadbać o odpowiednie przysposabianie przestrzeni miejskich i wiejskich w celu zwiększenia ich atrakcyjności turystyczno - kulturowej. Chodzi o wprowadzanie przemyślanego, sensownie i fachowo opracowanego systemu oznaczeń stałych (odpowiednika muzealnych opisów eksponatów) oraz - właśnie - tam, gdzie to jest możliwe i celowe elementów "teatralizacji" czy - jak kto woli - skansenizacji. Wyobrażam sobie, jaką atrakcją mogłyby się okazać w jakimś miasteczku znajdujące się obok siebie "czynne" małe browar w oryginalnych wnętrzach, z możliwością obejrzenia procesu produkcji (i degustacji), także piekarnia i zakład fryzjerski - mikromuzea monograficzne konkretnego rzemiosła, chroniące ginące na naszych oczach (ale jeszcze gdzieś niedostępne) elementy oryginalnego wyposażenia (rozumiane jako przykłady dawnego oblicza otoczenia) – zmuzeifikowane (zsemioforyzowane) i repliki możliwe do wykorzystania, łącznie z uwzględnieniem użycia ich przez zwiedzających (w wypadku zakładu fryzjerskiego np. nauka ostrzenia brzytwy czy golenie nimi, ale oczywiście fantomu, broń Boże osobnika żywego, nawet ochotnika). Ileż jest do "uruchomienia" tego typu łatwych do zmuzealizowania form działalności, wartościowych dla turysty kulturowego, a mogących także ożywić lokalne społeczeństwo! Przypominam sobie wizytę (kon. lat 80) w tzw. żywym skansenie w bułgarskiej Etrze, gdzie zgromadzono grupę rzemieślników wytwarzających różne wyroby starymi technikami, atrakcyjne jako pamiątki dla wielu turystów. Przy okazji, oprócz poznawczego i ekonomicznego, takie działanie zachowuje wiedzę o niegdysiejszych umiejętnościach.

Moim zdaniem, w Polsce tego typu form aktywności jest zdecydowanie zbyt mało. Trudno więc w jakimkolwiek stopniu traktować skansenizację jako zagrożenie. Oczywiście,

pomijam wątek groźby w postaci mcdonaldyzacji zjawiska (vide wypowiedź kolegi z UJ). To jednak inna kwestia.

Chyba nie ma co działać w cieniu zbyt dychotomicznej koncepcji Krzysztofa Pomiana (2001 - drugie wydanie), w której jednoznacznie przeciwstawiono sobie sfery użytkowości i wyłączenia z niej czyli semioforyzacji. Coś co ulega muzealizacji niekoniecznie przecież musi być wyłączone ze sfery użytkowej i odwrotnie.

**dr hab. Janusz Hochleitner, prof. UWM, Olsztyn**

Nie dostrzegam jeszcze w naszym kraju nadmiernych przykładów skansenizacji obszarów. Owszem obserwuję liczne – często bardzo pozytywne - inicjatywy, wielokrotnie organizowane w trybie partnerstwa trójsektorowego, które mają wykreować takie byty w klimacie „żywych skamielin”, odpowiednio niby zakonserwowanych dla potrzeb ewentualnych turystów. Myślę w tej chwili o działaniach mających kreować tzw. „wsie tematyczne”. Mamy ich w Polsce już przynajmniej kilkadziesiąt, większość z nich opierać się ma na tradycyjnych zawodach, nierzadko próbuje się w nich na nowo interpretować zachowaną kulturę materialną czy duchową danej społeczności lokalnej. W tym obszarze zdecydowanie opowiadam się za potrzebą wsparcia takich przedsięwzięć, gdyż stanowią one olbrzymią szansę dla mieszkańców głównie obszarów wiejskich oraz dla samych regionów mogących zbudować spójną i szeroką ofertę zwłaszcza dla turysty kulturowego. Obawiam się, że jednak sami inicjatorzy są zazwyczaj zamknięci na współpracę z osobami spoza lokalnego środowiska. Ale spróbować na pewno warto.

Interesującą propozycją na wykreowanie większej oferty opartej na zasobach wybranych wsi stanowi partnerstwo 10 wsi położonych na Wzniesieniach Elbląskich. Obserwuję te działania od ich narodzin i przyznaję, iż inicjatywa ta w ostatnim czasie stanowi już konkretną realizację strategii promocyjnej regionu (warto zaznaczyć, iż nie jest to wynik jakiegoś znaczącego wsparcia samego regionu, powiatów czy województwa warmińsko-mazurskiego). Rodzą się jednak w tym miejscu liczne moje wątpliwości – przede wszystkim oddolne pomysły bez właściwego wsparcia ze strony branży turystycznej często sprowadzają się jedynie do zagospodarowywania kapitału ludzkiego członków partnerstwa, które są narażone na „wzajemne” wspieranie się w pozyskiwaniu środków finansowych z poszczególnych lokalnych grup działania (LGD). A przecież dysponentem tych środków jest marszałek, który także odpowiada za przygotowanie i realizowanie poszczególnych strategii. Czy nie warto przy już funkcjonujących gremiach (składających się z przedstawicieli działających LGD) na poziomie poszczególnych województw wspierać te przedsięwzięcia tak, aby mocniej je wpisać w założenia strategiczne danego regionu?

Skansenizacja obszarów systematycznie zaczyna nas coraz szczelniej otaczać. Trudno dziś wyobrazić region, w którym byśmy mogli nie spotkać przydrożnych stylizowanych karczm, zachęcających tradycyjnymi potrawami do zatrzymania się. W jednym z polskich „skansenów” uczestniczyłem w konferencji, na której użyczono nas obiadem z pierwszym daniem - „uszkami ukraińskimi”, które jednak zbyt nie pasowały do regionu. Reszta, jak wystój lokalu, umeblowanie czy strój obsługi był bez zastrzeżeń. Nie chodzi może w tym miejscu tyle o recepturę co o nazewnictwo.

Reasumując, zagrożenia jeszcze nie widzę, a to dlatego tylko, iż proces ten jeszcze nie osiągnął odpowiedniego rozwoju. Niemniej zasadne wydaje się, aby decydenci regionalni pochylili się nad tendencją do zbyt łatwego adaptowania czy włączania stylizowanych produktów w pakiet konkretnej oferty regionalnej (macdonalizacja), w zamian za próbę wygenerowania konkretnej oferty „kulturowej” regionu, w której uda się pomieścić najważniejsze determinanty tożsamości historycznej, podkreślić charakter duchowy, zaakcentować oryginalne lokalne wątki tradycji, które przez stulecia przecież stanowiły o niepowtarzalności każdego większego i mniejszego regionu.

W tym miejscu zupełnie przychylam się do spostrzeżeń moich poprzedników.

**dr hab. Michał Jarnecki, WPA UAM Kalisz**

Wydaje się, że zjawisko przedstawione w zagadnieniu, nie jest aż tak poważnym zagrożeniem. Tutaj idę tropem Dariusza Dąbrowskiego. Czasem ochrona pewnej materialnej przestrzeni może oznaczać dla zaniedbanych, zagrożonych punktów szansę ocalenia - patrząc na dotychczasowe, wybiórcze w latach PRL próby ich ochrony, czy nawet dzisiaj, kiedy w nowej rzeczywistości społeczno-ekonomicznej potrzeby kultury wyższej wypychane są "ad calendas grecas" w hierarchii ważności. Owa muzealizacja czy skansenizacja lokalnych przestrzeni zarysowuje się może najprędzej w przypadku Podhala, ale to specyficzne miejsce. Można zaryzykować stwierdzenie, że nastąpiła tam intrygująca synteza dyskursu w tzw. wartościach z materialnym pragmatyzmem. Świadomi tego swoistego teatrum jednak chętnie je przyjmujemy, uciekając w ową swoistą dla nas mieszczuchów egzotykę i zarazem tradycję. Ale na serio – ta skansenizacja czy muzealizacja są z jednej strony jakoś niebezpieczne, ale czasem może to być jakaś szansa przetrwania dla obiektów czy zjawisk kulturowych, szczególnie na początkowym etapie ich ochrony. Nie wstydzmy się przecież powiedzieć prawdę, iż lokalne społeczności mają prawo czerpać pewne korzyści z występowania na ich obszarach wartościowych obiektów i unikalnych obyczajów. Tym bardziej będą zainteresowane w ich dobrej kondycji. Chęć poprawy losu nie jest chyba naganna. Problemem jest raczej znalezienie równowagi z autentyczną tradycją. Doświadczenia świata pokazują, iż czasem da się ją osiągnąć. Problem dopiero u nas dojrzewa i nie przybiera skali opisywanej przez A. Wiczorkiewicza w *Apetycie turysty*. Lokalne władze nie powinny więc przeszkadzać rodzącym się inicjatywom, a nawet winny im sprzyjać choćby przez system ulg ekonomicznych, np. dla wymierających specjalności, które przez fakt swojej unikalności same stają się już atrakcją, ale jednocześnie przez kontynuację „na pokaz” mogą jakoś zachować swoją tożsamość czy zgoła istnienie.

**dr Zygmunt Kruczek, AWF Kraków / UE Katowice**

Skansen to dla mnie obiekt dokumentujący przeszłość, oczywiście pierwotnie termin ten odnosi się, do architektury ludowej czy innych przejawów dziedzictwa kulturowego, a w mowie potocznej oznacza rzeczywiście relikw, skamielinę, niekoniecznie żywą. Skansenizacja zatem to proces utrwalania elementów przeszłości, może odnosić się do kultury materialnej i duchowej czy nawet do całych regionów. Wioska indiańska na Śląsku może nie jest najlepszym przykładem, bo to obcy wtęret kulturowy i nie ma potrzeby go tutaj traktować jak dziedzictwo. W Polsce skansenizacja raczej nie dotyczy całych regionów, można podać przykłady odtwarzania ginących zawodów np. Łemkowskich maziarzy czy wyrobu drewnianych łyżek w Beskidzie Niskim ale to rzeczywiście próba ożywienia obiektu czasem nawet autentycznego skansenu. Obserwowałem podobne zjawiska dotyczące całego regionu Sonora w Kalifornii. Z inicjatywy hrabstwa opuszczone miasta poszukiwaczy złota ożyły. Miasto jest skansenem, ale funkcjonują sklepy w starym stylu, poczta, telegraf, kuźnie, stacja dylżansów, biuro szeryfa, itp. Wiele osób znalazło zajęcie w tych archaicznych zawodach sprzed 100 lat, aczkolwiek dochody z obsługi turystów nie wystarczają na utrzymanie tych obiektów. Ambicja hrabstwa jest jednak utrzymywanie takiego regionu poprzez jego dofinansowanie.

Gdzie indziej mamy do czynienia z komercjalizacją kultury nie istniejącej już na co dzień np. odtwarzanie widowisk dla turystów pieśni, tańca, tradycji kulinarnych w specjalnych Visitor Center np. w Cairns w Australii (kultura Aborygenów) czy Rotorua na Nowej Zelandii (Maorysi). W najbardziej dzikim zakątku Ziemi – Papui Nowej Gwinei - cała wioska odgrywa spektakl najpierw walki międzyplemiennej a później organizuje ucztę dla przybyszów. Po imprezie dzicy wojownicy i ich żony ubierają się już w miastowe ubrania i wracają do swoich zajęć. Ale czy to jest skansenizacja, czy raczej karnawalizacja oparta na tradycyjnym dziedzictwie? Rozwój turystyki kulturowej pociąga za sobą proces kreowania na bazie dziedzictwa kulturowego takich atrakcji.

Takie nasuwają mi refleksje, widziane okiem turysty, a nie antropologa. Pisze te zdania już na Sri Lance. Jutro ruszam z Colombo w głąb kraju - czy spotkam żywe przejawy kultury Syngalezów i Tamilów, czy być może napotkam skansen, urządzony dla turystów? Mam nadzieję przekazać te informacje autorce pytania po powrocie z tej rajskiej wyspy.

***dr Armin Mikos v. Rohrscheidt, KulTour.pl Poznań/ GSW Milenium***

Stwierdzę przewrotnie, że pierwsza, wprowadzająca część pytania jednocześnie stanowi najważniejszą (choć może nie do końca zamierzoną) sugestią odpowiedzi na drugą. To znaczy: jeśli w kontekście turystycznym istnieje zagrożenie dla autentycznego dziedzictwa kulturowego, wyrażające się w sztuczności i fasadowości obecnej w obchodzeniu się z nim przez samych nosicieli / tubylców, to jest ono - moim zdaniem - równoważone przez olbrzymie korzyści dla samego dziedzictwa, wynikające z jego eksploatacji na użytek turystów. Bez wątplenia są miejsca na świecie, gdzie takie zagrożenie już jest dostrzegalne: uzupełniając zbiór przykładów wymienionych przez przedmówców wskazałbym Meksyk z jego występami „etnicznymi” i masowo do nich oferowanymi materialnymi „autentykami” „made in Taiwan”, ale także beduińskie „show” w Egipcie, realizowane niemal w cieniu japońskich terenówek, należących do „aktorów” i pozostałych gospodarzy. Jednak czy z punktu widzenia dobra światowego dziedzictwa kultury lepsza byłaby jedyna realna alternatywa? A jest ona moim zdaniem taka, że w większości krajów i społeczeństw (nieprzesadnie przecież zamożnych) ostatnie autentyczne elementy miejscowych tradycji, nie eksploatowane na użytek turystów i nie przynoszące dochodu, „poległyby” w starciu z nowoczesnymi symbolami wyrównanego poziomu życia i społecznego statusu oraz codziennej wygody życia? Po prostu ludzie, którzy dziś trudnią się ich „skansenizacją” - i z niej żyją - zajęliby się czymś innym, a niematerialne (i tym samym aktualnie niedochodowe) dobra kulturalne, nie wspierane przez państwa i silne instytucje kulturalne, zatem pozostawione samym sobie - umarłyby wraz z ich najstarszymi użytkownikami? Lepsza już skansenizacja i muzealizacja na dziś - choćby po to, by było skąd czerpać źródła, wiedzę i umiejętności po przebudzeniu w jakiejś lepszej rzeczywistości. Tej, która może nadejść za lat - powiedzmy - 30 czy 40, gdy oprzytomniałe państwa czy - zamożniejsze niż dziś - lokalne wspólnoty zechcą przeprosić się ze swoim dziedzictwem. W tym kontekście przypomnę nasze liczne polskie muzea etnograficzne i zespoły tańców ludowych. Najpierw uratowały one tradycje kulturalne historycznych regionów, które w roku 1975za jednym pociągnięciem pióra decydenta znikły z map, rozszarpane w ramach gierkowskiej reformy administracyjnej. Potem, w niesprzyjającym im okresie politycznego przełomu przetrwały dzięki komercji (np. nagrywając płyty albo organizując osławione już imprezy integracyjne) także na prawach takich „skansenów”: mizernie lub wcale nie dofinansowywane przez władze, nie uwzględniane w strategiach rozwoju i traktowane protekcyjnie przez większość przedstawicieli kultury „wyższej”. A teraz w licznych miejscach - jeśli tylko mają szczęście do mądrych, uzdolnionych menedżersko i pełnych pasji kierowników - stały się one ośrodkami regionalnego ożywienia, nierzadko prawdziwymi „mekkami” rodzimych poszukiwaczy kulturowych korzeni. Wspierane tu i ówdzie przez światłych marszałków, sejmiki albo władze powiatowe powoli dochodzą do siebie, organizują cenne i atrakcyjne wystawy i imprezy na coraz wyższym poziomie, prowadzą ciekawą i skuteczną edukację regionalną. I jeśli tylko w „nowych” turystach kulturowych będą umiały dostrzec drugą obok miejscowych społeczności wielką grupę swoich odbiorców czy klientów - znajdą pewnie drogi, by wyjść naprzeciw ich oczekiwaniom. W świetle tych przykładów odważę się na stwierdzenie, że „skansenizacja” może być swego rodzaju formą przetrwalnikową dóbr, umiejętności, tradycji i obyczajów w czasach dla nich trudnych. Czas zaś jest trudny, gdy z jednej strony ludzie i lokalne wspólnoty zmieniają się zbyt szybko (idąc za zmianami technologicznymi, społecznymi) i mają problemy z zachowaniem i zrozumieniem wartości własnego dziedzictwa, z drugiej gdy brak jest zrozumienia ze strony rządzących, a przede

wszystkim gdy tym ostatnim brak środków na profesjonalne i niekomercyjne działania służące ratowaniu tego dziedzictwa. W takich sytuacjach turystyka i jej potrzeba „zderzenia kultur” na użytek turysty staje się motorem (bo artykułuje potrzeby i wymusza programy) oraz paliwem (bo płaci za produkty) dla ratowania dziedzictwa, szczególnie jego cech unikalnych, egzotycznych i najbardziej typowych dla danego regionu czy nawet miejsca. I nie widziałbym w tym jej ułomności, lecz właśnie olbrzymi atut. Niejeden doktorat już napisano (zdaje się jednak, że głównie daleko poza naszymi granicami) na temat pozytywnej roli turystyki w zachowaniu i przywracaniu konkretnych wyrazów, nie tylko materialnego (to wiedzą już nasi studenci) lecz również duchowego dziedzictwa.

Od razu zauważę, że pewne zagrożenie dla integralności ocalanego dziedzictwa widzę właśnie w tym, co przed chwilą zaznaczyłem. Otóż na potrzeby turystyki pielęgnowane, eksploatowane i akcentowane są właśnie elementy „naj” (najbardziej egzotyczne, najdziwaczniejsze, najrzadziej spotykane, najstarsze - oraz mogące być opisanymi z użyciem wszelakich innych superlatyw). To może z czasem spowodować wypaczenie obrazu miejscowej kultury. I jeśli powinno się toczyć dyskusję, a może nawet batalię w obronie przed dysfunkcjami turystyki kulturowej, to przede wszystkim na tym polu: należałoby wypracować sposoby zapobiegania owej deformacji, realizowanej na potrzebę komercyjnych produktów turystycznych. Jak? Tu właśnie potrzebna jest dalej idąca wymiana pomysłów, popartych wynikami badań i studiami podobnych przypadków. W mojej opinii warto na początek rozważyć choćby jakieś systemy grantów, najpierw 1) wspierających działania w dziedzinie kultury, które służą ratowaniu i pielęgnowaniu dziedzin i elementów dziedzictwa nie mogących aktualnie liczyć na „kupienie” przez przemysł turystyczny, następnie 2) finansujących kolejne strategie i działania na rzecz ich „reintrodukcji” za pomocą np. nowoczesnej edukacji regionalnej a potem – bo czemu nie? – 3) może także wspomagających tworzenie atrakcyjnych produktów turystycznych na ich podstawie, by z czasem choć niektóre z nich mogły się same finansować a nawet współfinansować mniej popularne elementy.

Co do ostatniej części pytania: Tak, w niewielkim stopniu zauważam tendencję skansenizacji regionalnego polskiego dziedzictwa kulturowego, przy czym jej przejawy występują właśnie w towarzystwie opisanych powyżej zagrożeń. Jako przykłady wymienię komercyjną i okrojona do wszystkim znanych hitów ofertę ludowej kultury Podhala albo mocno już zdeformowany i wzbogacony obcymi wtrętami pokazowy folklor mieszkańców Puszczy Białowieskiej. Jednak – zważywszy niewielką skalę tego zjawiska oraz wskazane powyżej jego przetrwalnikową rolę i płynące z niego korzyści - prawdziwe niebezpieczeństwo widzę gdzie indziej. Moim zdaniem należy raczej bić na alarm obserwując mnożące się najdłuższe pseudo-kulturowe oferty, rzekomo bazujące na „regionalnym dziedzictwie” i beczelnie nadużywające tej nazwy, by oszukiwać zarówno „swoich” (w tym dawców wszelakich subwencji), jak i turystów. Niedopuszczalne jest opatrywanie ich etykietami kulturowymi i zużywanie na nie publicznych lub pomocowych środków, przeznaczonych na umocnienie tożsamości regionalnej, na ochronę lub popularyzację dziedzictwa. Koronnym przykładem niech będzie sytuacja w polskim dziedzictwie kulinarnym. Grzechem pierwotnym w tej dziedzinie jest fakt, że nadal nie posiadamy powszechnie uznanego polskiego atlasu kulinarnego (nie myślę o ilustrowanym albumie, tylko o naukowo, czyli krytycznie opracowanym leksykonie tradycyjnych recept i jednoznacznym przyporządkowaniu ich nazwom dań). Przy takim stanie niewiedzy kwitnie „wolnoamerykanka” w postaci kreowania lokalnych szlaków tras kulinarnych, obejmujących obiekty już nie tylko proponujące dania nader eklektycznej kuchni polskiej i rzekomo polskiej (z wiedeńskim przecież panierowanym schabowym włącznie), ale nawet sushi-bary, greckie tawerny i pizzerie (przykład: proszę - Białystok ([www.bialostockiszlakkulinarny.pl](http://www.bialostockiszlakkulinarny.pl))). Czy można nas wszystkich uratować przed podobnymi ofertami? To już pytanie godne osobnej dyskusji.

**dr Magdalena Banaszekiewicz, UJ, Kraków**

Na wstępie chciałabym gorąco podziękować za wszystkie odpowiedzi, których Państwo udzielili (co prawda, pisząc te słowa zapoznałam się dopiero z ich częścią, ale jestem przekonana, że pozostałe będą nie mniej interesujące).

W 2009 roku oficyna Noir Sur Blanc wydawała powieść Benoit Duteurtre'a pt. "Miasto szczęścia". Rzecz dzieje się w jednej z europejskich stolic, w której Kompania - światowy lider turystyki kulturowej - wykupuje historyczne centrum, by stworzyć w nim park rozrywki. Ludzie mieszkający na obszarze nowego parku mogą w nim pozostać, pod warunkiem, że ich życie stanie się pracą: mają przebierać się w historyczne kostiumy i pracować dla Kompanii jako żywe obiekty rozrywki. Ta szydercza i ironiczna książka przez wyolbrzymiający pryzmat przedstawia zjawisko, z którym coraz częściej spotykamy się w tzw. realnym świecie - nasze życie staje się rozrywką dla "złotych hord". Czy można jednak współcześnie wydzielić jeszcze przestrzeń kultury (nie mam tu na myśli wyłącznie aspektu fizycznego przestrzeni), których nie dotknęłaby ręka turysty? A skoro tak, to czy kultura musi ulec urozrytkowaniu, o którym pisze Duteurtre?

Zgadzam się absolutnie z konstatacją dr Łukasza Gawła, że każde dziedzictwo kulturowe skazane jest na obumieranie. Nie da się zachować w nietkniętej formie odchodzących do przeszłości zawodów, obyczajów, strojów. Choć organicystyczna koncepcja kultury sama odeszła do lamusa, jednak nie ulega wątpliwości, że kultura musi się rozwijać, a to nie jest możliwe bez pozbywania się balastu tego, co ów rozwój uniemożliwia. Trzeba zatem zastanowić się, co z tzw. dziedzictwa kulturowego warto chronić, przechowywać (jako obiekt - relikwii przeszłości) a co, poddając kulturowemu retuszowi, "reanimować". Choć w pojęciu skansenizacji wychwytyjemy pejoratywne skojarzenie, same skanseny są prosto jedną z form zachowania owego dziedzictwa. Aż chciałoby się rzec - cóż złego w muzeach "pod chmurką"? Czym biedny skansen sobie zasłużył? Niestety, w dobie, gdy wszystko musi być wirtualne, dotykane i interaktywne, skansen nie przedstawia sobą atrakcyjnej formy. I tak pojawia nam się czasownik, określający zjawisko uznawane za negatywne, a będące formą "łapania w bursztyn" żywych fenomenów kulturowych; próbą przechowania tego, co bez owej bursztynowej otoczki zginęłoby bezpowrotnie (nawet jeśli oznacza to jednocześnie uśmiercenie samego fenomenu niczym tej biednej muchy w bursztynie zamkniętej przed tysiącami lat).

Nie każdy skansen musi zostać spisany na straty i nie każda teatralizacja powinna być witana hurraoptymistycznie jako znakomita forma ożywienia przeszłości. Każdy z nas jednak potrafi podać przykłady "dobrych praktyk" zarówno w jednej, jak i drugiej formie. Nie zapominajmy również, że przeszłość nigdy tak naprawdę nie jest martwa, czego najlepszym przykładem może być zjawisko "tradycji wynalezionej" (polecam znakomitą książkę Erica Hobsbawma). Nie jest łatwa ocena tego, czy jakiś fakt kulturowy, stając się atrakcją turystyczną ulega petryfikacji a jednocześnie przemienia się wyłącznie w kolejny produkt z supermarketu kultury. Sądzę, że cała kwestia powinna być analizowana w kontekście takich zagadnień jak: żywy-martwy, autentyczny-nieautentyczny, autoteliczny-utylitarny. Coś co dla nas może wydawać się nieautentyczną spektaklizacją, dla jej aktorów okazuje się sensem życia (a nie tylko formą zarobienia pieniędzy). Z drugiej strony, powinnością badaczy turystyki jest wychwytywanie i piętnowanie wszelkich fałszywych tonów, które wypaczają melodię dziedzictwa i kreują macprodukty w miejsce prawdziwej strawy duchowej.

Sama nie jestem w stanie dać wyczerpującej odpowiedzi na postawione przeze mnie pytanie (dlatego zresztą je zadałam:) W tym jednym pytaniu zawiera się bowiem wiele wątków, które wypadałoby omówić (co też Państwo uczynili nie zawodząc moich oczekiwań). I aż prosi się o przeniesienie naszej "rozmowy" do środowiska akademickiego sympozjum, by głębiej poruszyć niektóre kwestie.

**Agnieszka Matusiak, UŚ Katowice/Cieszyn**

Zadane pytania są trudne. Większość turystów oczekuje, że odwiedzane miejsce ich zadziwi, że będzie zgodne z wyobrażeniami ukształtowanymi poprzez lekturę lub częściej, przez kolorowe obrazki z katalogu biura podróży, usłyszane opinie i funkcjonujące stereotypy. Zatem najczęściej turysta jadący na Podhale spodziewa się góralskiej muzyki, oscypka i kwaśnicy, a jadąc na przykład do Tajlandii oczekuje, że zobaczy żyjące tam prymitywne plemiona, dżunglę i piękne plaże.

Turysta liczy na pewne przeżycia, widoki, emocje, płaci, więc dostaje. W Tajlandii wioskę plemienia Padaung z kobietami - żyrafami, w Polsce np. Chochołów z pięknymi drewnianymi chałupami i żyjącymi w nich góralami. Tak, to są skanseny, ale to także dziedzictwo kulturowe. Lepiej się mieszka w Bangkoku niż w dżungli, łatwiej nie mieć metalowych obręczy na szyi. Murowany dom jest wygodniejszy od drewnianej chaty. Jednak nie chcemy jednolitego świata złożonego z jednakowych betonowych klocków i identycznie ubranych ludzi. Jeżeli pretekstem do ocalenia kulturowej różnorodności jest turystyka - to jest to pozytyw. Pieniądze z biznesu turystycznego mogą pozwolić obronić choć resztki różnorodności przed globalizacją. Najważniejsi są ludzie żyjący w "skansenach". Czy żyją tam dobrowolnie, czy też są do tego zmuszani administracyjnie bądź ekonomicznie? Jeżeli decyzja o pozostaniu w skansenie jest świadoma, jeżeli taki sposób życia wynika z przywiązania do tradycji, szacunku dla swych korzeni, a nawet z chęci zarobienia w ten sposób na swoje życie - to nie można oceniać tego negatywnie.

Jeszcze jeden przykład, wskazujący na złożoność problemu. Birmańska junta wojskowa doprowadziła do izolacji tego kraju. Nie można w żadnym aspekcie oceniać jej pozytywnie. Gdy w końcu jednak upadnie, a Birma otworzy się na świat, tylko kwestią czasu pozostanie zastąpienie *longyi* (londzi) chińskimi džinsami. Czy Birmańczycy będą wtedy szczęśliwsi? Może, ale świat będzie kulturowo uboższy.

Wracając do pytania, myślę, że w Polsce ten problem ma wręcz niezauważalną skalę. W naszym kraju przeplatają się folklor i folkloryzm, a kontaktu z nim oczekują turyści, zarówno krajowi jak i zagraniczni. Pojawiła się nawet moda na to, co tradycyjne, czy też nawiązujące do tradycji ( przykład: kierpcasy, stroje z elementami ludowymi, moda na noszenie tybetek, etc...). Nie widzę niczego złego w zachowywaniu tradycji, pokazywaniu, najczęściej w formie atrakcji np. sposobu pracy rzemieślników. Jeśli bowiem nie zachowamy taki form, będzie trochę jak z tym mlekiem, że nie od krowy, tylko z marketu... Większym zagrożeniem, widocznym na każdym kroku, jest kiczowata pseudonowoczesność zastępująca tradycję. Przykład skomercjalizowanej "gwiazdki" zastępującej Święta Bożego Narodzenia jest wystarczająco wymowny.